

Stanisław Śledź

Po obu stronach rzeki Ben Hai. Wietnam - strefa zdemilitaryzowana na 17 równoleżniku

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 127-134

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PO OBU STRONACH RZEKI BEN HAI. WIETNAM – STREFA ZDEMILITARYZOWANA NA 17 RÓWNOLEŻNIKU

Po powrocie z grupy w Vung-Tau do Sajgonu otrzymuję kolejne zadanie – funkcję kierownika Grupy nr 76 w Gio Linh, w strefie zdemilitaryzowanej na 17 równoleżniku szerokości geograficznej północnej. Zapoznaje się z dokumentacją dotyczącą tej grupy. Wynika z niej, że wzdłuż równoleżnika płynie rzeka Ben Hai. Dwa 5-kilometrowe pasy na północ i południe od rzeki tworzą strefę i jednocześnie tymczasową linię demarkacyjną dzielącą Wietnam na dwie wrogie części – północną i południową.

Zgodnie z układami zawartymi w Genewie w 1954 roku wszystkie siły zbrojne i sprzęt wojskowy miały być ze strefy wycofane, a przekraczanie linii demarkacyjnej poddane zostało szczegółowym przepisom, m.in. ograniczono liczbę osób uprawnionych do przebywania w strefie i do posiadania broni. Chodziło tu o stworzenie strefy buforowej zapobiegającej incydom, które mogłyby spowodować rozpoczęcie działań wojennych. W tym celu w małej wiosce Gio Linh położonej mniej więcej 1000 m na południe od strefy rozlokowano dwie ruchome grupy Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie. W skład każdej wchodziło, oprócz Hindusów i Kanadyjczyków, Polacy. Jedna grupa sprawdziła południową część strefy, druga zaś dojeżdżała do mostu Hien Loung, przechodziła na drugi brzeg Ben Hai (około 150 m szerokości) i kontrolowała rejon północny.

16 lutego–20 marca 1965. Fragmenty z osobistego dziennika

16 lutego

Pobudka o godz. 6.00, następnie śniadanie i o godz. 7.30 wyjazd na lotnisko. Lecę z Sajgonu do Hue samolotem południowowietnamskich linii lotniczych. Zajmuję miejsce przy oknie. Obok mnie siada żołnierz wietnamski, spadochroniarz, mówiący po angielsku. Rozmowa schodzi na temat pracy Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli i szkolenia spadochronowego. Pogoda dopisuje. Lecimy na wysokości 1000 m i mimochodem obserwuję krajobraz wietnamski. Pod nami zielone dywany pól ryżowych poprętykane wzgórzami pokrytymi gęstym buszem i nieprzyjazną dżunglą. Nie widać żywej duszy. Czasami wśród monotonnej zieleni przemykają się cichutko mętne rzeki lub wydeptane ścieżki górskie. Jak podpowiada mi mój współpasażer, na tych terenach niepodzielnie panuje Vietcong, czyli wietnamscy komuniści.

Po 2 godzinach lotu zbliżamy się do Hue. Przed dawną siedzibą cesarzy Wietnamu widzę wśród bezkresu sennych pól ryżowych tysiące kopczyków, są to groby zmarłych przodków. Pod skrzydłami samolotu przemyka tafla jeziora, pagody i zieleń bijąca w oczy. Lądowanie spokojne. Wsiadam z samolotu, żegnam się z miłym spadochroniarzem, a witam z mjr. Czesławem Machera, którego zmieniam. Po przekazaniu obowiązków i najświeższych wiadomości z Sajgonu, żegnamy się. Wsiadam do jepea, który ma mnie zawieźć do siedziby

grupy w Gio Linh, około 100 km na północ. Przejeżdżamy przez miasto starzejące się już smutno po czasach dawnej świetności, którą opiewają historycy. Piękna kiedyś pagoda buddyjska jest częściowo zniszczona. Wygląda jak nasza warszawska Cytadela. Przed wyjazdem z miasta dosiada się żołnierz i dwóch cywili – to moja ochrona.

Napotykanne wioski i mosty witają nas posterunkami południowowietnamskiej armii. Wioski otoczone są przeszkodami, stoją tam kozły z drutu kolczastego i metalowe beczki napełnione po brzegi piaskiem. Przed wjazdem samochody są zatrzymywane i kontrolowane. Po sprawdzeniu tożsamości osób z drogi usuwane są kozły, beczki zaś objeżdża się jak w slalomie narciarskim bramki. Ma to uniemożliwić wjechanie samochodu-pułapki partyzantów Vietcong na teren wioski. Nasza droga jest gęsto usiana wioskami. Chaty z trzciny ryżowej wyglądają na biedne. Przed nimi rosną palmy i bananowce. Przy drogach pasą się bawoły, a na ich grzbietach siedzą chłopcy, niekiedy ptaki. Chłopi ubrani w białe spodnie i czarne chałaty (takie nosili w Polsce przed wojną ortodoksyjni Żydzi), trzymają nad sobą czarne parasole. Kobiety pracują w czarnych spodniach i bluzkach, głowy zaś nakrywają kapelusze z szerokimi rondami. Większość pracujących w polu to kobiety. Niektóre rozbijają bryły zeschniętej ziemi drewnianymi młotami, niezwykle ciężka praca przy bladym od gorąca słońcu.

Tereny między wioskami kontroluje Vietcong, o czym świadczą uszkodzone linie energetyczne i telefoniczne. Bez przygód dojeżdżamy do stolicy prowincji Quang Tri i po 3 godzinach jestem w Gio Linh, gdzie wita mnie mjr Jerzy Skikiewicz (notabene kolega z pracy w Warszawie) oraz tłumacze. B. Nowak i W. Jarmoliński. Następnie witają mnie przewodniczący grupy, ppłk J. B. Irani (Indie), M. S. Sandhu (Indie) oraz ppłk R. Babineau i mjr L. S. Tucker (obaj Kanadyjczycy).

2 marca

Dzisiaj mamy tzw. święto grupy, czyli dzień wolny od pracy. Mam czas na pisanie listów do kraju, czytanie prasy, grę w brydża, siatkówkę i inne uciechy.

Po śniadaniu opuszcza nas ppłk J. B. Irani i tłumacz W. Jarmoliński. Przy pożegnaniu ppłk Irani objął mnie ramionami i 2-krotnie ucałował. Byłem tym mile zaskoczony. Widocznie mnie polubił. Około godz. 11.00 zaczęliśmy grać w brydża. O godz. 13.00 usłyszeliśmy dwa potężne wybuchy po północnej stronie rzeki Ben Hai, czyli na terytorium Wietnamu Północnego. No, powiedzieliśmy sobie, zaczęło się bombardowanie Północy.

W czasie sjęsty około godz. 15.30 usłyszeliśmy warkot samolotów. Wybiegliśmy wszyscy z pomieszczeń. Nad nami niebo przecinały samoloty odrzutowe „Delta”, zmierzające w kierunku północnym. Leciały na różnej wysokości: 200, 500 i więcej metrów. Na kadłubach widać było znaki rozpoznawcze – białe gwiazdy. Przeleciało ich nad nami, jak naliczyliśmy, 24. Za kilkanaście sekund szyby w oknach i ziemia zadrżały. Usłyszeliśmy potężne wybuchy. Wchodzimy na dach i obserwujemy przez prawie godzinę dalsze bombardowanie za rzeką, prowadzone z innych kierunków. Na horyzoncie widać pożary i gęste obłoki dymu. Jesteśmy zatrwożeni zaistniałą sytuacją. Część południowowietnamskich żołnierzy obserwujących bombardowanie mówi, że dobrze tak tym z Północy, inni, zwłaszcza starsi, płaczą. Zdają sobie bowiem sprawę, że zabijają ich rodaków, a może i krewnych. Ziemia bez przerwy drży, samoloty atakują bezkarnie. O Boże, co się znowu na tym świecie dzieje.

Jedni zabijają drugich. Szczególnie żal mi biednych ludzi, którzy są karani zbiorowo. Naszymi protestami nie zapewnimy bezpieczeństwa. Jestem bardzo poruszony, gdyż sam przeżyłem bombardowanie wiosną 1945 roku i wiem jak się czuje człowiek pod bombami. Moja reakcja na zaistniałą sytuację była taka, że zażądałem od przewodniczącego grupy, kmdr. K. K. Narayana (Indie), i delegata Kanady, mjr. A. D. Sassona, natychmiastowego wysłania do sztabu Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Sajgonie radiogramu o naruszeniu strefy zdemilitaryzowanej przez 24 samoloty odrzutowe ze znakami rozpoznawczymi amerykańskiego lotnictwa. Poinformowanie, że słyszeliśmy bardzo silne wybuchy oraz widzieliśmy ogromne obłoki dymu po drugiej stronie rzeki Ben Hai. Radiotelegram został wysłany o godz. 17.00, tzn. po zakończeniu półtoragodzinnego bombardowania. Już o godz. 17.30 radio w Waszyngtonie podało oficjalnie, że lotnictwo Stanów Zjednoczonych Ameryki bombardowało port morski w Wietnamie Północnym.

O godz. 18.30, zgodnie z planem, jedziemy do Wietnamu Północnego na koktajl. Wita nas oficer łącznikowy, mjr Tran-Van-Duc, i tłumacz, Doan-Tue. Są bardzo zmartwieni. Major oświadcza nam, że pobliski teren został zbombardowany i ostrzelany raketami przez samoloty amerykańskie. Są duże straty, których jeszcze nie oszacowano. Jest bardzo źle. Major twierdzi, że zestrzelono 7 samolotów. Trudno nam w to uwierzyć, gdyż doskonale wiemy, że nie mieli środków do zwalczania tego typu samolotów. Cóż, dyplomacja.

Po wysłuchaniu oświadczenia, przewodniczący grupy wyraził ubolewanie w związku z zaistniałą sytuacją. Rezygnujemy z koktajlu. Wracamy do naszej strefy południowej. Jest już ciemno. Wioski „nowego życia”, jak nazywają je władze południowowietnamskie, przez które przejeżdżamy, są zabarykadowane. Po sprawdzeniu, że jesteśmy z komisji międzynarodowej jedziemy dalej. Przy wygaszonych światłach szczęśliwie wracamy do naszej siedziby.

Przewodniczący organizuje drinka i przy szklaneczce whisky i polskiej „Wyborowej” komentujemy dzisiejsze wydarzenia. O godz. 23.00 wyłączają nam prąd. Przed zaśnięciem myślę co nam przyniesie jutrzejszy dzień.

3 marca

Po śniadaniu jedziemy na kontrolę strefy południowej. Z pokładu motorówki płynącej środkiem rzeki Ben Hai widać ścianę gęstych bananowców i bambusowych zarośli, gdzieniegdzie smukłe pnie pięknych palm, spotykamy kobiety piorące ubrania i chłopców łowiących w kosze kraby. Z zieleni drzew wylaniają się rybackie chaty i krzątający się w obejściach ludzie. Nic podejrzanego nie zobaczyliśmy. Około godz. 13.00 znowu przelatują nad nami samoloty. Lecą ze wschodu na zachód. Będą bombardować pobliską dżunglę znajdującą się częściowo na terenie Laosu, przez którą biegnie tzw. droga Ho Chi Minha. Tędy przerzuca się bojowników i sprzęt wojskowy z północy na południe. Po godzinie samoloty wracają tą samą trasą, oznacza to, że dzisiaj 2-krotnie naruszono strefę zdemilitaryzowaną. Zgłosiłem protest do przewodniczącego z prośbą o wysłanie go do sztabu w Sajgonie w celu powiadomienia przełożonych o tym fakcie. Prośba moja została spełniona, ale nic z tego nie wynikło. Takie są, niestety, meandry dyplomacji. Protesty, oświadczenia, składane wyrazy ubolewania itp., ale zwykłym Wietnamczykom tym się nie pomoże. Reszta dnia minęła spokojnie.

4 marca

Po śniadaniu jedziemy na kontrolę strefy południowej. Płyniemy naszą motorówką. Dopływamy do ujścia rzeki, która wpada do Morza Południowochińskiego i zawracamy. Płynąc z powrotem, gramy w brydża. W drodze powrotnej obserwujemy kolejne naruszenie strefy zdemilitaryzowanej przez samoloty amerykańskie. Żądam wysłania radiogramu do sztabu MKNiK w Sajgonie. Po dłuższej dyskusji na ten temat mjr L. S. Tucker (Kanada) zaproponował głosowanie nad wnioskiem delegata polskiego stwierdzając, że nie jest pewien, czy były to samoloty amerykańskie, ponieważ jest krótkowidzem, nie miał przy sobie okularów i nie widział znaków rozpoznawczych samolotów. Z opinią Kanadyjczyka zgodził się przewodniczący grupy, K. K. Narayan (Indie). W głosowaniu przypadł mój wniosek. Takim zachowaniem moich partnerów w grupie zostałem niemiłe zaskoczony, zwłaszcza postawą przedstawiciela Indii, który zgodnie z układami genewskimi reprezentował państwa neutralne i powinien postępować zgodnie z ich duchem. Niestety, mimo oczywistych faktów i dowodów przedstawianych przeze mnie, popierał Kanadyjczyka, a prawie nigdy mnie, Polaka.

Około godz. 23.00 wybuchła obok naszej siedziby gwałtowna strzelanina. Zarządzono alarm dla naszej załogi i ochrony oraz pobliskiej baterii artylerii. Obserwowaliśmy jak szybko zorganizowana okrężną obronę. Ostrzeliwano pobliski busz pociskami oświetlającymi. Oświetlano flarami drogę biegnącą obok nas i trzymano ją pod ogniem broni maszynowej. Zachowanie naszego oficera łącznikowego mjr. Vu-Trang-Muc i kpt. Le-Lam w czasie walki było godne uznania. Zachowywali się bojowo i dobrze kierowali walką. Po godzinie strzelanina ustała, jedynie bateria artylerii 82 mm, mająca stanowiska ogniowe 300 m od nas, ostrzeliwała przez pół godziny pobliską dżunglę. Strat obu stron nie odnotowaliśmy. Nie otrzymaliśmy odpowiedzi na temat napastnika. Następnego dnia poskarżyłem się północnowietnamskiemu oficerowi łącznikowemu, że partyzanci z Vietcong podchodzą pod nasz obóz i nie dają nam spać. Sugerowałem, aby partyzanci tego więcej nie robili. Trudno powiedzieć, czy był to przypadek czy też akcja zamierzona. Jeżeli się to powtórzy, wówczas zareaguję ostro.

5–10 marca

Od 5 do 11 marca nic szczególnego się nie wydarzyło. Dokonujemy rutynowych kontroli po jednej i po drugiej stronie rzeki Ben Hai. Pogoda brzydka. Siąpi deszcz, jest bardzo wysoka wilgotność powietrza. W wolnych chwilach gram w brydża, uczę się angielskiego, korzystając z pomocy mojego tłumacza, Bogdana Nowaka, oraz piszę listy do domu, mamy, siostry i kolegów z pracy.

6 marca przyjechał nowy tłumacz – Tadeusz Rutkowski. Trzy dni później odjechał Bogdan Nowak, zastąpił go przybyły Zbigniew Twerd.

11 marca

Po powrocie z kontroli około godz. 13.00 usłyszeliśmy silne wybuchy po stronie północnej, lecz żadnych pożarów i dymów nie było widać. Nie miałem wobec tego podstaw do interwencji.

12 marca

Około godz. 14.00 słyszymy silne wybuchy, a chwilę potem przeleciały nad nami samoloty amerykańskie. Naliczyłem ich 34. Leciały na różnych wysokościach, od 100 do 1000 m. Doskonale widoczne były białe gwiazdy wymalowane pod skrzydłami tych śmiertelnych ptaków. Zażądałem natychmiastowego wysłania do Sajgonu radiogramu informującego o poważnym naruszeniu strefy zdemilitaryzowanej. Tym razem Hindus i Kanadyjczyk zgadzają się ze mną. Naszą obserwację potwierdziło radio sajgońskie informując, że 160 samolotów amerykańskich bombardowało Wyspę Tygrysią na północ od 17 równoleżnika. Zniszczono stację i urządzenia radiolokacyjne. Na drugi dzień spotykamy na moście granicznym północnowietnamskiego oficera łącznikowego. Odnosimy wrażenie, że jest przygnębiony i wystraszony. Oświadcza nam, że co parę godzin mają alarmy, że żołnierze i okoliczna ludność przygotowują się do obrony. Opowiada, że ostrzeliwali nadlatujące samoloty „Delta” z broni ręcznej i maszynowej. Zapytany, czy mają działa przeciwlotnicze, odpowiada, że takiego sprzętu nie posiadają, ale mają za to ducha walki, który jest najlepszą bronią przeciwko agresorowi. No, daj Boże. Pożyjemy, zobaczymy jak się ten „duch” spisze.

13 marca

Po południu nad strefą zdemilitaryzowaną znowu przelatują samoloty amerykańskie. Lecą z południa na północ. Bombardują już głębiej, gdyż wybuchów nie słyszymy ani nie widzimy unoszących się dymów. Już przestaję rozumieć, co się dzieje. Jakie mają znaczenie oświadczenia Związku Radzieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej, w których jednoznacznie stwierdzały, że jeśli Stany Zjednoczone jeszcze raz zbombardują suwerenne terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu, to one odpowiednio zareagują. Premier Związku Radzieckiego, Aleksy Kosygin, po przybyciu do Hanoi takie oświadczenie złożył, o czym poinformowało radio sajgońskie. I co? I nic! Ciekawe, że następnego dnia po tym oświadczeniu rząd południowowietnamski zareagował natychmiast. Wydano polecenie władzom miejscowym, aby ludność przygotowała dla siebie schrony i szczeliny przeciwlotnicze. Amerykanie podciągnęli pod strefę zdemilitaryzowaną dywizjon rakiet przeciwlotniczych „Hawk”, licząc na odwet Wietnamu Północnego. Byliśmy tego świadkami. Na szczęście strona północnowietnamska nie zaatakowała. Jeżeli z powodu Wietnamu Północnego miałaby rozpocząć się III wojna światowa, to chwała Bogu, że odwetu nie ma, a może nigdy nie będzie. Oby moje życzenia się spełniły. Pragnę wrócić do kochanej żony i córeczek cały i zdrowy.

14 marca

Północnowietnamski oficer łącznikowy powiadamia mnie, że do południowej strefy zdemilitaryzowanej wprowadzono kompanię wojska. Mamy jechać i sprawdzić ten incydent, gdyż jest to działalność sprzeczna z układami genewskimi. Jedziemy dwoma jeepami. Dojeżdżamy do wioski, w której rzekomo jest rozlokowana owa kompania. Niestety, droga jest zaminowana. Widać ślady zakopanych min. Żołnierzy nie widzimy. Ze względu na własne bezpieczeństwo wracamy do naszej siedziby. Na miejscu sporządzamy odpowiedni raport.

Po południu nastąpiła poprawa pogody i zaraz przeleciało nad nami kilkanaście samolotów amerykańskich. Odnotowujemy ten fakt w raporcie i wysyłamy radiogram z protestem do naszego sztabu w Sajgonie.

15 marca

Dzisiaj jest święto grupy. Mamy wolny dzień, więc uczę się angielskiego i piszę listy oraz czytam prasę krajową (prasę i listy z kraju otrzymujemy z 2-tygodniowym opóźnieniem!).

Po południu opuszcza grupę mjr M. S. Sandhu-Sikh (Sikh – Hinduś należący do najwyższej kasty w Indiach), nasz hinduski ekspert do spraw chińskich. Był to mądry, a jednocześnie dowcipny oficer. Chiny komunistyczne uważał za swojego wroga nr 1. Przy każdej okazji przekonywał nas, abyśmy czym prędzej zjednoczyli się i zaatakowali Chiny póki jest czas, bo za kilkanaście lat będzie to niemożliwe! Każdą dyskusję albo rozpoczynał, albo kończył problematyką chińską. Zaprosił mnie do odwiedzenia Indii na jego koszt, gdyż jego żona była bardzo bogata, była księżniczką! Podziękowałem mu serdecznie za ten gest.

Po południu przelatywały nad nami samoloty amerykańskie, ale w święto grupy formalnie nie pracowaliśmy, więc zapisu o naruszeniu strefy nie dokonaliśmy.

Wieczorem przewodniczący grupy kmdr K. K. Narayan zorganizował koktajl. Przybyli m.in. oficerowie amerykańscy, w tym doradcy z Quan Tri – stolicy prowincji odległej od nas o około 30 km, miejscowi notable, w tym szef policji, oraz inni. Spotkanie upłynęło w miłej atmosferze. W czasie rozmowy z majorem armii amerykańskiej zapytałem go, czy warto było przyjechać do nas, a potem wracać w nocy drogą kontrolowaną przez partyzantów Vietcong. „Jestem oficerem. Skoro zaproszono mnie na tak ważne przyjęcie, to wprost nie wypada nie przyjść. Byłoby to z mej strony niedyplomatyczne, a z niebezpieczeństwem muszę się liczyć, przecież jestem w strefie frontowej. Trzeba robić wszystko, by nie dać się zabić. Mam żonę i dzieci” – odpowiedział mi Amerykanin. Żegnając się z nim, podziwiałem go za postawę i umiejętność radzenia sobie w niebezpieczeństwie. Otóż, przed wyjazdem rozkazał przez radio, aby drogę biegnącą przez busz oświetlać flarami, a sam busz ostrzeliwać z dział artyleryjskich. Żołnierze amerykańscy z ochrony z wymierzonymi w busz karabinami ruszyli z dużą prędkością. Mniej więcej pół godziny później poinformowano nas, że bez przeszkód dotarli do koszar. Trzeba przyznać, że oficerowie i żołnierze amerykańscy przebywający w Wietnamie są dobrze wyszkoleni, a sami oficerowie mają wysokie poczucie honoru.

Dzisiaj miałem straszną noc, jedyną w swoim rodzaju. Być może wpływ na to miał wczorajszy koktajl i wypite trunki. Śniło mi się bowiem, że na pierś skoczył mi szczur i wąż, których tu było wiele. Zerwałem się ze snu, aby uciec z łóżka, ale ze strachu zapomniałem, że mam moskitierę, która się przy tej okazji na mnie zaważyła. To jeszcze bardziej mnie wystraszyło. Strach spowodował, że wyrwałem dziurę w moskitierze, żeby się z niej wydostać. Gdy ochłonałem, zaświeciłem latarkę, którą miałem pod ręką, i zobaczyłem, że w pokoju nie było żadnego szczura ani węża. Uspokoilem się i uzmysłowiłem sobie, że był to tylko sen. Ot, strach ma wielkie oczy!

17 marca

O godz. 4.30 obudziłem się, gdyż szyby groźnie dźwięczały, a cały domek drżał od wybuchów. Wstałem i wyszedłem na zewnątrz. To samo zrobili również inni członkowie Komisji. Słyszeliśmy kanonadę artyleryjską. Tym razem to okręty wojenne floty amerykańskiej ostrzeliwały Wyspę Tygrysią, położoną na północ od 17 równoleżnika. Znow biedni wieśniacy i rybacy odczuli na własnej skórze skutki nie wypowiedzianej wojny. Trwało to około 30 minut. Chyba wszystko tam wyleciało w powietrze. Po tym ostrzale między godz. 4.30 a godz. 5.00 fala za falą na znacznej wysokości leciały z południa na północ amerykańskie

samoloty. Wybuchów towarzyszących bombardowaniu nie słyszeliśmy. Widocznie poleciały daleko za strefę. Jak długo to potrwa? Czy naprawdę nie ma siły, która powstrzymałaby te naloty i ostrzeliwanie przez okręty wojenne zarówno obiektów wojskowych, jak i cywilnych? Przecież często ginęli ludzie, którzy nikomu nic złego nie zrobili.

Jak to się ma do solidarności państw socjalistycznych, w tym Związku Radzieckiego i ludowych Chin, które poza pomocą materialną udzielaną rządowi północnowietnamskiemu nic konkretnego, według mnie, nie uczyniły. Co robi ONZ, Rada Bezpieczeństwa i gwaranci układów genewskich z 1954 roku? Te wszystkie deklaracje i uchwały na razie nie skutkują. Funkcjonuje za to prawo dżungli. Niewiele zmieniło się w wielkiej polityce światowej po ostatniej wojnie. Wszystko to są tylko parawany, za którymi ukrywa się zbrodnie wobec małych państw i narodów. Liczą się tylko możni tego świata. Będąc naocznym świadkiem tego co się tu dzieje, przestaję wierzyć w dobrą wolę mężów stanu i polityków, ich oświadczeniom i deklaracjom.

18 marca

Po śniadaniu pożegnaliśmy kpt. G. J. Conroya (Kanada). Był to bardzo sympatyczny i koleżeński oficer. Zaprzyjaźniłem się z nim w grupie w Dong Dang i Vung-Tau.

Południowowietnamski oficer łącznikowy poprosił nas, abyśmy udali się śmigłowcem amerykańskim na wybrzeże Morza Południowochińskiego, gdzie zatopiono północnowietnamską dżonkę z żołnierzami na pokładzie. Chodziło o przesłuchanie ich jako jeńców wojennych. Odmówiłem udziału w tej kontroli argumentując, że udam się nad morze śmigłowcem, ale ze znakami rozpoznawczymi Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli (na białym tle litery „IC” – Internationale Commission). Chodziło mi o bezpieczeństwo grupy i moje życie, mieliśmy bowiem lecieć nad terenami, które są opanowane przez Vietcong i mogli nas zestrzelić. Moją argumentację partnerzy przyjęli ze zrozumieniem, ale nie byli z tego zbyt zadowoleni. Do Komisji w Sajgonie wysłaliśmy telegram z prośbą o zorganizowanie nam śmigłowca ze znakami IC. Na razie sprawę odłożono na później.

19 marca

Po śniadaniu przyszedł do nas południowowietnamski oficer łącznikowy i oświadczył, że dzisiaj nie możemy jechać na kontrolę, gdyż przed mostem będzie wiec przeciwko komunistom wietnamskim, połączony z deportacją znanych intelektualistów-pacyfistów sajgońskich na północ. Około godz. 9.00 przejechało drogą nr 1 na północ kilkanaście czołgów i pojazdów opancerzonych z żołnierzami uzbrojonymi w broń maszynową. Obok naszej siedziby zajęła stanowiska bojowe bateria artylerii ciężkiej armii południowowietnamskiej.

Około godz. 10.00 przejechały samochody ciężarowe i autobusy z ludźmi. Nam ograniczono swobodę poruszania się poza miejscem zakwaterowania. Zaprotestowaliśmy przeciwko temu, a także rażącemu pogwałceniu układów genewskich odnośnie strefy zdemilitaryzowanej. Byliśmy tymi faktami zaskoczeni, a także podenerwowani i lekko wystraszeni, widząc lufy armatnie wycelowane na północ. Liczyliśmy się z tym, że może dojść do wymiany ognia lub większej bitwy, co zagroziłoby naszemu bezpieczeństwu i życiu. Na nasze szczęście wszystko skończyło się dobrze. Około godz. 13.00 przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych z Sajgonu oraz miejscowa ludność tą samą drogą opuścili strefę. Oficer łącznikowy, mjr Vu-Trang-Muc, oświadczył nam, że następnego dnia możemy jechać swobodnie na kontrolę.

Na jutro przewodniczący grupy zapowiedział lot do miejsca zatopionej dżonki. Niestety, ta okazja mnie ominie, gdyż jutro o godz. 7.15 opuszczam grupę i w ramach rotacji wracam do Sajgonu. Powiedziałem kmdr. K. K. Narayanowi (Indie), że jest mi bardzo przykro, ale nie mogę towarzyszyć mu w tej kontroli, ale godnie zastąpi mnie mój następca, mjr Henryk Kawala. Zgodnie z przyjętymi zwyczajami dyplomatycznymi (każdy miał paszport i status dyplomatyczny) od godz. 18.00 do godz. 23.00 składałem kolegom z Indii i Kanady wizyty pożegnalne. Oczywiście, były przy tej okazji odpowiednie alkohole.

Żegnaj Gio Linh. Nie było tu aż tak źle, jak o tej grupie mówiono nam na szkoleniu w kraju. Słyszeliśmy wcześniej, że jest to najgorsza grupa tak pod względem pracy, jak i warunków bytowych. To prawda, że nie żyło się tu ani łatwo, ani bezpiecznie. Prawie każdy dzień przynosił informacje o incydentach naruszających postanowienia układów genewskich, prowokowanych głównie przez stronę południowowietnamską, Vietcong, a także północnowietnamską, a od 2 marca bieżącego roku przez Stany Zjednoczone Ameryki, których samoloty i okręty wojenne naruszały strefę zdemilitaryzowaną. Jeśli do tego dodamy prymitywne warunki mieszkaniowe (kilka niskich, krytych falistą blachą baraków w rzadkiej kępie drzew na niewielkim wzniesieniu), limitowany dopływ prądu i wody, męczącą pogodę, to powód, że często byliśmy rozdrażnieni i cierpieliśmy na tzw. tropikusa. Z drugiej strony te trudne warunki sprzyjały jednak zacieśnianiu przyjaźni pomiędzy poszczególnymi członkami Komisji bez względu na przynależność narodową. Mogę dodać, że częste wizyty prywatne u Hindusów i Kanadyjczyków, podczas których prowadziliśmy ożywione dyskusje, umożliwiły mi podciągnięcie się w języku angielskim.

Prowadząc dziennik mego pobytu w 76 Grupie w Gio Linh, opisywałem na gorąco zdarzenia, które miały miejsce, bez uproszczeń i retuszu, niekiedy może w sposób zbyt ekspresywny, ale zawsze tak, jak to widziałem i odczuwałem. Starłem się zrozumieć ten polityczno-wojskowy oraz ludzki wymiar i obraz wietnamskiej rzeczywistości i nie wypowiedzianej państwu i jego narodowi wojny.

20 marca

Rano, po śniadaniu wyjeżdżam samochodem z ochroną do Hue. Żegnają mnie serdecznie partnerzy i koledzy. Jadę tą samą drogą, którą przyjechałem, a zarazem opisałem pod datą 16 lutego. Docieram szczęśliwie na lotnisko. Wsiadam do samolotu i jako współpasażera mam obok siebie wietnamskiego katolickiego księdza. Dyskutowaliśmy o skutkach rozpoczętej w Wietnamie wojny. Lądujemy szczęśliwie na lotnisku Tan Son Nhut. Czeka tam na mnie kpt. Radomyski i wiezie do siedziby naszej delegacji. Melduję się u doradcy wojskowego, płk. Tadeusza Zielińskiego. Dowiaduję się, że będę pracował do maja w Wydziale Operacyjnym, jako asystent szefa. Później mam zmienić ppłk. Henryka Stężyckiego, jako przewodniczący delegacji polskiej w Komisji Rozbrojeniowej, ponieważ Henryk obejmuje wyższe stanowisko szefa Komisji Wolnościowej. Cieszę się z tego. Wszystko układa mi się dobrze. Wieczorem w słynnym hotelu „Continental”, gdzie mieszkam w pokoju z klimatyzacją i źródlaną wodą, jeszcze raz staje mi przed oczami Grupa Gio Linh i jej sympatyczni członkowie. Zdaję sobie sprawę z tego, że już nie będę słyszał wieczornej kanonady artyleryjskiej i wybuchów bomb za rzeką Ben Hei. Z tą błogą myślą zasypiam.